



ILUSTROWANY



PRZEGLĄD TYGODNIOWY



Wychodzi w każdą niedzielę
w
Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie



Rocznik I.

12. września 1915

Nr. 40.

Redakcja, administracja i ekspedycja
Morawska Ostrawa, ul. Johannyego 5.
Tel. Nr. 163.
Rękopisów się nie zwraca.

Cena numeru 20 halerzy

Prenumerata kwartalna . . K 2-50

Prenumerata półroczna . . K 5-

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor.,
 $\frac{1}{2}$ strony — 50 kor., $\frac{1}{4}$ strony — 25 kor.,
 $\frac{1}{8}$ strony — 12-50 h i t. d. Przy kilkakrotnem zamieszczeniu wysokie rabaty.



W ruinach Kryłowa.

Wielki czyn Warszawy.

Nowa Komisja Edukacyjna.

Wiekopomne dzieło odrodzenia narodu przez oświatę, podjęte przez Komisję Edukacyjną, znać dziś w Warszawie, w tej „nie romantycznej“ ale bardzo „pozytywnej“, a zarazem najbardziej polskiej, gorąco czującej, do wszelkich ofiar zdolnej, ale trzeźwo myślącej i Warszawie chwalebnych naśladowców.

Za prezydentury Zdzisława ks. Lubomirskiego komitet obywatelski i magistrat Warszawy w dniu 23. sierpnia uchwalił zaprowadzić powszechne obowiązujące nauczanie. Założonych ma być niezwłocznie 400 szkół, na które miasto — mimo szczupłości obecnych swych funduszy — przeznacza kwotę 1,800.000 rubli.

Wniosek ten przyjęto jednomyślnie.

Gdy tylko warunki pozwolą powszechne nauczanie wprowadzone będzie w całym kraju.

Projekt nauczania powszechnego, choćby uznany jednomyślnie w zasadzie przez grono osób, opiekujących się oświatą polską, miał jednak przeciwników, przewidujących poważne trudności z dwu względów: finansowego i sprawy szkół żydowskich (chederów). Stąd wynikał pewien rozłam w poglądach.

Wahania przeciął ks. Lubomirski. Pomimo poważnych trudności finansowych, prezydent miasta i przewodniczący centralnego komitetu obywatelskiego cenił historyczną doniosłość chwili i nie wahał się uznać sprawę za nagłą, ufając temu, że wniosek oświatowy nie znajdzie w całym kraju ani jednego przeciwnika i że społeczeństwo z całym zapalem i konieczną ofiarnością poprze inicjatywę.

Wniosek, przedstawiony przez ks. Lubomirskiego, gorąco uzasadniał członek komisji szkolnej, p. Kazimierz Życki.

Przymus szkolny będzie wprowadzony w ten sposób, że po uruchomieniu szkół rodzice, uchylający się od posyłania dzieci do szkół, będą skazywani na karę pieniężną.

Co do ewentualnych trudności przy zaprowadzaniu przymusu szkolnego wśród ludności żydowskiej, na wniosek p. K. Życkiego postawiono sprawę w ten sposób: ludność wyznania mojżeszowego ma prawo korzystania ze szkół polskich bez przymusu szkolnego. Natomiast dla uniknięcia analfabetyzmu wśród części ludności, osiadłej w kraju rdzennie polskim, wszczęć starania o wprowadzenie w chederach nauki języka polskiego.

Z wojny.

Rosjanie wszędzie tracą grunt pod nogami — wydział oświaty, ale jego działalność na prowincji jest liczy wschodniej, gdzie dość długo siedzieli, musieli się w końcu wynieść — wojska austro-węgierskie odebrały im Brody i inne miejscowości, po za tem na swym własnym terenie wojennym utracili Rosjanie dwie twierdze, na Litwie Grodno, a na Wołyniu Łuck. Nie wiele już mają tych twierdz, a i te spodziewać się należy wkrótce będą inr odebrane. Wilno lada dzień będzie zajęte przez wojska sprzymierzone, również Ryga nie długo padnie — przez co umocni się i tak dość silna pozycja wojsk niemieckich idących w kierunku Peters-

burga, który widocznie musi być bardzo zagrożony skoro car z rodziną ucieka w głąb Rosji, a i rząd rosyjski ma zamiar przenieść się, aż do Niżniego Nowogrodu. W jakim kierunku rozwiną się dalsze operacje wojenne sprzymierzonych, to dziś nie wiadomo, to tylko można wnioskować, że o ile tak dalej pójdzie, pochód na Moskwę może okazać się zbytecznym — u sławiczne dotychczasowe klęski dostatecznie osłabiają siły rosyjskie, nie wiele zaś pomoże powołanie na plac boju nowego materiału ludzkiego w sumie 2 milionów ludzi, dla których niema Rosya ani instruktorów ani mundurów i broni. Nie zbawi też chyba Rosji dyktatura Mikołaja Mikołajewicza, o czym przebiekają w sferach politycznych Petersburga, trudno bowiem odzyskać w krótkim czasie to, co się w ciągu roku wojny utraciło.

Z Królestwa i z Warszawy.

General-gubernator warszawski.

„Deutsche Warschaner Zeitung“ donosi:

„Na mocy rozkazu cesarskiego, generała piechoty, doktora praw i inżynierii „honoris causa“, von Beselera, powołano na general-gubernatora w Warszawie i łącznie z tem kierownika losów znacznej części ziem polskich na okres na okres dalszych ciężkich czasów zmagania się narodów“.

Gubernator austriacki w Królestwie Polskiem.

Generał-major baron Diler został zamianowany generalnym gubernatorem obszaru Królestwa Polskiego, znajdującego się w administracji austro-węgierskiej.

Rozporządzenie gubernatora Warszawy.

W pismach warszawskich znajdujemy następujące obwieszczenie:

„Doszło do mojej wiadomości, że właściciele firm w Warszawie, a szczególnie interesów handlowych, odmówili zawierania stosunków handlowych z poddanymi państwa niemieckiego, jedynie z powodu przynależności ich do tego mocarstwa. Zaznaczam, że w każdym poszczególnym przypadku tego rodzaju, każda firma natychmiast zamknąć, a właściciela firmy, czy interesu przenieść do niemieckiego obozu jeńców wojennych. — Gubernator von Etzdorf, gen. piechoty“.

Aresztowanie redaktorów „Widnokregu“.

Jak się dowiadujemy, władze niemieckie aresztowały w Warszawie redaktora „Widnokregu“, p. Wincentego Rzymowskiego i sekretarza redakcji p. Tadeusza Hołówkę, za wydanie nr 15 go pisma, bez przedłożenia go do cenzury. Postąpienie swe usprawiedliwia redakcja tem, iż nie otrzymała zawiadomienia o zaprowadzeniu cenzury. Należy bowiem zauważyć, że dzienniki warszawskie nie podlegają cenzurze. Ponieważ jednak w pismach tygodniowych spotyka się białe plamy, przeto należy stąd wnosić, że odnośnie do tygodników cenzura została zaprowadzona.

Piotrkowski „Dziennik Narodowy“ komunikuje:

„Od dnia 30-go sierpnia otwierają władze legionowe oficjalne Biuro Legionów polskich przy Alejach Jerozolimskich 55, II. p., jako jedyną reprezentację Legionów polskich oraz departamentu wojskowego N. K. N. w Warszawie. W biurach Legionów polskich funkcjonować będą narazie następujące oddziały Departamentu wojskowego: a) centralnego wydziału ewidencyjnego, b) biura informacyjnego, c) biura zapomóg i opieki nad

rodzinami legionistów. Tamże nabywać będzie można oficjalne listy strat. Wszelkich informacji, dotyczących Legionów polskich zasięgnąć można codziennie między 9—11 popoł., oraz 4—6 popoł. Jakakolwiek akcja na rzecz legionistów polskich i pod ich firmą prowadzona w Warszawie, a więc akcja skarbową, odbywać się odtąd może jedynie za wiedzą i przy współudziale powyższej oficjalnej reprezentacji Legionów, oraz z aprobatą departamentu wojskowego N. K. N.

Wydelegowani przez Tow. opieki nad zabytkami przeszłości artyści przystąpili do kopiowania plafonów artystycznych, znajdujących się w pałacu Krasińskich. W Warszawie w wielu miejscach zachodzi konieczność wydobywania na światło dzienne cennych malowideł, zamazanych po barbarzyńsku wapnem, farbą olejną itp. Jak wiadomo ostatni zarządcy pałaców Pasa i Krasińskich z ramienia rosyjskich władz sądowych, zdewastowali, a co można było zabrać, wywieźli; poza tem, „dla porządku“, szereg cennych dzieł sztuki, plafonów, poprostu zasmarowano farbą olejną, nie wyłączając np. szeregu marmurowych posągów, zdobiących wewnątrz pałacu Krasińskich. Obecny zarząd gmachów sądowych przywróci tym namiątkowym budynkom o ile możliwości dawań ich świetną postać.

Szkoły w Zagłębiu.

„Kurier Zagłębia“ donosi: Z nowym rokiem szkolnym wejście w życie program wykładowy, opracowany przez władze niemieckie. Program ten wkrótce będzie nadesłany do tutejszych zakładów naukowych z głównej dykcji naukowej w Kaliszu.

Rozwiązanie Komitetu obywatelskiego.

„Dziennik Narodowy“ piotrkowski donosi: Dnia 16-go sierpnia władze rozwiązały komitet obywatelski w Radomiu.

Szkoły żydowskie w Łodzi.

Gazeta niemiecka „Deutsche Post“, wychodząca w Łodzi donosi, że w miejscowych szkołach żydowskich wprowadzony ma być język niemiecki jako wykładowy.

Uwzględniając głosy protestu społeczeństwa w Królestwie polskiem, Wydział Oświecenia K. O. zmienił treść swych zarządzeń wydanych na okres przejściowy, w punktach dotyczących języka rosyjskiego, w sposób następujący:

1. W szkołach elementarnych nauka języka rosyjskiego zostaje usunięta z programu normalnego cełkowiec już obecnie;

2. W szkołach średnich nauka języka rosyjskiego zostaje utrzymana dla tych uczniów i uczennic, którzy rodzice będą sobie tego życzyli.

Komitet obywatelski m. Warszawy postanowił celem zasilenia Kasji miejskiej funduszami na gospodarkę miastą wzywanie ludności, wypuścić 6 procentową pożyczkę miejską na 5 milionów rubli przy udziale miejscowych banków i finansistów. Równocześnie wypuszczone będą także boni.

Jak doskonale działa organizacja społeczna Warszawy, świadczy fakt, iż członkowie Tow. higieny praktycznej obchodzą dzielnicami mieszkania ubogiej ludności i pozostawiają wszędzie kawałek mydła, grzebień i bon na bezpłatną kąpiel.

Instytut weterynaryjny w Warszawie ma być zamieniony albo na Akademię weterynaryjną, albo przyłączony do wydziału lekarskiego polskiego uniwersytetu.

Sekcja statystyczna Komitetu Obywatelskiego przystąpiła do przeprowadzenia spisu ludności.

Warszawski oddział Legionistów opuścił 22-go ub.

m. Warszawę pod Wodzą Sieroszewskiego, udając się tymczasowo do Garwolina.

W sprawie gmachów rządowych i napisów miasta Warszawy wydał gubernator von Etzdorf następujące przepisy:

1. Wszystkie zabudowania, jakie dotychczas należały do rządu rosyjskiego, zostały zsekwestrowane dla państwa niemieckiego.

2. Wszystkie napisy w języku rosyjskim na gmachach rządowych i publicznych, za wyjątkiem kościołów i pomników, winny być usunięte przez zarząd miasta do dnia 1-go września br.;

3. Na tablicach ulicznych zarząd miasta obowiązany jest, do dnia 10-go września br. zatrzeć nazwy rosyjskie, aby były niewidoczne.

Nazwy ulic zostaną przetłumaczone na język niemiecki. Nazwy niemieckie zarząd miasta będzie zobowiązany umieścić w terminie, który zostanie jeszcze bliżej określony obok nazw polskich i literami jednakowymi z takowymi wielkością.

4. Napisy rosyjskie na gmachach prywatnych, sklepach itp. winny być zniszczone przez właścicieli takowych do dnia 21-go września br.

Kto nie wykona niniejszego rozporządzenia w czasie przepisany, zostanie ukaranym grzywną w wysokości do marek 600, lub więzieniem do 5 tygodni.

Pozatem napis zostanie usunięty pod przymusem osobistym przez odpowiednie władze na koszt właściciela.

Żargon w sporze z polszczyzną.

Warszawskie Towarzystwo dramatyczne postanowiło zorganizować teatr ludowy, z zamiarem grywania w gmachu panoramy — na Dynasach. Zwrócono się do dzierżawców teatru, omówiono warunki i ogłoszono w gazetach, że od soboty Teatr Ludowy rozpocznie dawać przedstawienia. Tymczasem dzierżawcy teatru postawili nowy warunek: „Panowie będziecie grali przez cały tydzień, ale w piątki i soboty będziecie mi grać w żargonie“. Warunek ten był nie do przyjęcia.

Publiczność ludowa bywa w teatrze przeważnie w soboty, a zresztą — teatr ludowy polski i teatr żargonowy w jednym budynku? Sprawa poszła pod rozstrzygnięcie komisji teatralnej.

Naczelny wydział oświecenia.

„Kurier Warszawski“ z 24-go ub. m. donosi:

Powstał projekt, ażeby działalność wydziału oświecenia w Warszawie rozciągnąć na cały kraj. Dotychczas wydział oświecenia zajmuje się tylko całokształtem spraw szkolnych w Warszawie.

Przy centralnym komitecie obywatelskim istnieje wydział oświaty, ale działalność na prowincji jest bardzo ograniczona, gdyż do niedawna Warszawa była odcięta od reszty kraju. Istniejące przy licznych komitetach obywatelskich sekcje szkolne, rady krajowe i wydziały szkolne działają na obszarze ograniczonym i zupełnie luźnie.

Szerszy zakres działalności ma centralne biuro szkolne w Zagłębiu Dąbrowskiem, obejmujące miejscowości, okupowane przez wojska austriacko-węgierskie na południu Królestwa polskiego.

Chodzi więc o to, ażeby rozprószoną w zakresie szkolnictwa polskiego pracę zjednoczyć i uzależnić od jednego naczelnego organu szkolnego, którym może być wydział oświecenia w Warszawie. Tak zorganizowane szkolnictwo, przy wspólnych wysiłkach całego kraju może wydać pożądane owoce.



Krzyż pamiątkowy przy skrzyżowaniu się drogi
Kowel-Brześć lit.



Powrót żydowskich uciekinierów do spalonych przez
kozaków siedzib.

Sprawa powyższa jest obecnie w biegu. Szczegóły jeszcze nie są ustalone.

Wydział oświaty w Centr. Kom. Obyw. dzieli się na siedm sekcji, które obejmują następujące działy wychowania: przedszkolna, szkoły elementarne, szkoły średnie, szkoły zawodowe, wychowanie cielesne i pozaszkolne, uniwersytety ludowe i zakłady akademickie.

Rezultatem prac tej ostatniej sekcji wydziału oświaty będzie rychło już otwarcie polskiego uniwersytetu i politechniki w Warszawie, które — jak się dowiaduje „Świat” — nastąpi w październiku. Co do sił profesorskich, nie tylko wystarczy ich do obsadzenia na razie obu uczelni tych, ale nadto jeszcze do wprowadzenia, jak dotąd, wyższych kursów naukowych, które otwarte zostaną w połowie września. Katedry we wszystkich powyższych zakładach obsadzone będą wyłącznie przez siły warszawskie.

„Unikaliśmy — mówi informator „Świata” — wprowadzania ułożonych krakowskich i lwowskich, gdyż nowy uniwersytet polski nie powinien organizować się kosztem innych polskich wszechnic, lecz stać się pomnożeniem naszych naukowych środków”.

Walka z analfabetyzmem.

Polski Związek Nauczycielski w Warszawie w celu walki z analfabetyzmem organizuje kursy dla osób, pragnących poświęcić się nauczaniu analfabetów dorosłych. Na kandydatów przyjmuje się nauczycieli, lub osoby z wykształceniem średnim. Wykłady dla pierwszego kompletu rozpoczęły się 30. sierpnia.

Uruchomienie przemysłu w Warszawie.

Jak donosi „Kurier Warszawski”, delegacja przedstawicieli przemysłu warszawskiego, złożona z pp. St. ks. Lubomirskiego, Edwarda Na'ansona, Wierzbickiego i Apla, udała się do majora von Oechelhausera, kierownika nowoutworzonego wydziału gospodarczego przy warszawskim urzędzie gubernialnym, i przedłożyła mu plan uruchomienia przemysłu w Warszawie. Według tego planu należałoby puścić w ruch przede wszystkim młyny, tartaki, cegielnie, drożdżownię, garbarnię, fabryki czekolady, tytoniu i inne, zaspokajające pierwsze i konieczne potrzeby życia rodzinnego; następnie zaś przystąpić do uruchomienia większych fabryk, zwłaszcza mechanicznych i metalowych, zatrudniających znaczną część robotników. Poruszono również sprawę rekwir-

zycji surowca i wogóle materiałów niezbędnych do pracy fabrycznej. Przy wymianie zdań w sprawach powyższych oświadczonego przedstawicielom przemysłu, że władze niemieckie zachowają stosunek życzliwy względem przemysłu, który również będzie użytkowany dla potrzeb armii niemieckiej. Na razie konkretnych rozporządzeń nie wydano, p. Oechelhauser wystąpił tylko do Towarzystwa przemysłowców z prośbą o wydelegowanie stałego przedstawiciela w celu porozumiewania się w sprawach przemysłu.

W »Przeglądzie Porannym« z 19-go b. m. czytamy „Wobec zamierzonego otwarcia uniwersytetu i politechniki w Warszawie, Zarząd Związku równouprawnienia kobiet polskich zwrócił się do komisji szkół wyższych Komitetu obywatelskiego m. Warszawy o zamieszczenie wśród przepisów dla tych uczelni następującego: „Przyjmowanie młodzieży polskiej bez różnicy płci na równych prawach do uniwersytetu i politechniki w Warszawie”.

Wydawnictwa patriotyczne polskie.

Do kreowanej przez Niemców administracji prasowej wpłynęło już — jak stwierdzają pisma warszawskie — wiele podań o pozwolenie na wydawanie w druku polskich pieśni patriotycznych. Podania te na razie pozostawiono bez skutku do czasu utrzymania z Poznania spisu pieśni, których druk i rozpowszechnianie dozwolone jest w zaborze pruskim.

Zmiany w Łazienkach.

Park Łazienkowski w Warszawie został otwarty na nowo dla publiczności. Przegląd Poranny stwierdza, że Łazienki znajdują się na opiece części służby dawnej, która pozostała w liczbie 50 w Warszawie. Pilnujący wejść do ogrodu inwalidzi wojskowi zmienili mundury rosyjskie na ubrania cywilne. Ogrodnicy prowadzą w dalszym ciągu rozpoczęte roboty; służba pałacowa zaś strzeże pozostawionych pamiątek historycznych. Zwierzchni nadzór nad ogrodem objęło warsz. Tow. ogrodnicze; pieczę zaś nad gmachami ma delegat Tow. opieki nad zabytkami przeszłości.

Filia niemieckiego »Banku Rzeszy« (Reichsbank) ma być wkrótce — jak donosi „Goniec” — otwarta w Warszawie. Filia ta ma zająć gmach byłego Banku państwa (rosyjskiego) przy ul. Bielańskiej.



Wieża wodna pod Brześciem lit. zburzona granatami sprzymierzonych



Zbudowany przez Rosyan szpital wojskowy przy ich odwrocie z pod Sokala zupełnie zburzony.

»Kurier Warszawski« z dnia 21. sierpnia b. r. donosi: O godz. 11-tej przed południem odbyło się w kościele św. Krzyża nabożeństwo uroczyste na intencję Legionów polskich, opuszczających Warszawę. Podczas nabożeństwa śpiewano hymny narodowe. Kościół był przepełniony. Podczas przejścia przez kościół i poza murami świątyni publiczność obrzucała legionistów kwieciami. Wzruszenie było silne; mnóstwo osób miało łzy w oczach.

MARYA CZERKAWSKA.

Modlitwa dziecka.

W pustym kościele cisza, jeno odgłos kroków po posadzce dudni echem dalekiem.

W bocznej kaplicy szezebiot dziecięcy.

Spazm żalu chwyla w tym przybytku ciszy — a z serca wyrwywa się prośba błagalna do Boga, by raczył odwrócić swą karzącą rękę od biednego ludu.

Przed wizerunkiem Chrystusa klęczy postać ciemno odziana. Z ocz jej toczą się torące łzy, które dużymi kroplami spadają na jasnowłosą główkę dziecięcia stojącego obok.

Dziecię rączki złożyło, jasne oczka z ufnością ufkwieło w obrazie i powtarzało za matką płótnem słowa pacierza, kończąc go rzewną prośbą: Boziu, tatusia zdrowego nam wróć...

Mijały długie, smutne miesiące pełne twożnych oczekiwań, a dziecię co dnia rączki składało i powtarzało wytrwale swą prośbę.

W zaciętym boju walczy dzielny żołnierz. Zniwo śmierci zbiera dokoła swe plony, on jednak nie tylko wychodzi żywy, lecz unosi z gradu kul towarzyszy rannych, ratując ich od pewnej śmierci.

Dzielny żołnierz nieraz spojrzał w przepastne oczodóły śmierci, a przecież zawsze wychodził cały i zdrowy.

W takich chwilach czuł, że ocalał cudem i wtedy przychodziła mu na myśl żona i dziecię: „To ich modlitwa ocaliła mię” — myślał wówczas — i często, gdy sen skleił powieki towarzyszy, — spoglądał w niebo usiane gwiazdami, jakby chciał pytać o losy drogi swych istot.

Poznał je pewnie, bo w taką cichą noc gwiazdzą-

stą odczuwają się dusze kochane i kochające, śląc wzajemnie prośby do tronu Najwyższego — by pozwolił wreszcie zejść się pod rodzinną strzechą.

Drobne wiadomości.

Pieniądze z żelaza. Jak już donosiliśmy, Rada związkowa zatwierdziła projektowane przez administrację mennic wybijanie z żelaza pięciofenygówek, spowodowane utrudnionym dowozem niklu z Ameryki, a zapotrzebowaniem tego metalu przez administrację wojskową. Po wszechstronnych obradach zdecydowano się ostatecznie na wybijanie monet z żelaza. Niewiadomo na razie, jaka ilość zostanie wybitą. O tem zadecyduje urząd skarbowości Rzeszy. Ponieważ nigdy dotąd nie wybijano pieniędzy z żelaza, nasuwają się trudności techniczne. Jeżeli próba, podjęta w dniach najbliższych wypadnie ku zadowoleniu rzeczoznawców, z początkiem października puszczone zostaną w obieg żelazne pięciofenygówki, które podobno nie będą się bardzo różniły od niklowych. Naturalnie będą od nich nieco cięższe.

Niemcy na nowej drodze! Gazety berlińskie donoszą: W Seminaryum wschodniem w Berlinie otwarte będą dnia 1-go września kursa nauki języka polskiego dla członków administracji i armii. Wykładanym będzie również język rosyjski. Nauka będzie bezpłatna; odbywać się będzie wieczorami po dwie godziny.

Pokrewieństwo tatarsko-węgierskie. Węgierska Akademia Umiejętności, korzystając z pobytu w krajach austro-węgierskich licznych jeńców — Tatarów, tworzyła komisję dla zbadania ich języka i etnicznego charakteru. Do komisji należą wybitni orientaliści węgierscy. Okazało się, że w obozach jeńców wszystkie odmiany tatarskie mają przedstawicieli: Tatarzy krymscy, kazańscy, nogajscy, Miszerowie, Baszkirowie, Turkmeni, Talarzy altajscy, Czuwacze, Kumiki z Kaukazu, Awarowie i Osetyńcy. Dr. Kunos w rozmowie ze współpracownikiem „Pester Lloyd” streścił wyniki naukowe ekspedycji: „Udało nam się w tych językach znaleźć źródło wielu słów węgierskich, których pochodzenie było dotychczas sporne. Odkryliśmy liczne nieznane dyalekty tatarskie. Z punktu widzenia języka



Jency rosyjscy wzięci do niewoli w walkach koło Włodzimierza wołyńskiego ze swym małym komendantem austro-węgierskim frajtre.

węgierskiego, najciekawszy są Miszerowie. Typ ich bardzo różni się od mongolsko-tatarskiego. Miszerowie są przeważnie blondynami i mają fizygnomię europejską; język ich był dotychczas zupełnie nieznanym i teraz dopiero wzbogaci językoznawstwo. Ważną zdobyczą jest także odtworzenie na piśmie mowy Baszkirów. Niektórzy uczeni, jak Juliusz Pauler, uważają Baszkirów za dawnych Madziarów. Zebrano tomy ciekawych pieśni tatarskich.

Dzienniki poznańskie podają w obszernych wyciągach uwagi, jakie wypowiedziane zostały w prasie niemieckiej w Rzeszy o sprawie polskiej z powodu wzięcia Warszawy. Powtarzamy tu parę wyjątków z tych uwag.

Organ kół zachowawczych niemieckich w Poznaniu, „Tageblatt“, pisze: „Państwo niemieckie poniosło dla zdobycia Królestwa polskiego olbrzymie ofiary krwi. Rozumie się samo przez się, że ci, co odnosili zwycięstwa i zdobyli kraje, znajdujące się w posiadaniu, będą przedewszystkiem przestrzegać swoich interesów“.

Liberalna „Frankfurter Ztg.“ mówi: Niemcy i Austriacy prowadzą wojnę z Rosją o swój własny byt narodowy i ubezpieczenie swych granic. Polacy nie powinni zapominać, że nie oni wyzwolili Warszawę, lecz że uczyniły to wojska niemieckie. Państwa sprzymierzone stawiają swe własne interesy na pierwszym miejscu“.

„Koelnische Zeitung“ pisze: „Odezwa N. K. N. zamiast dziękować wybawicielowi Warszawy, daje wyraz rozczarowaniu, że stolica Polski nie została w ten sposób zajęta, jak tego pragnął N. K. N.“.

Na starym gruncie.

Powieść

14)

przez

M. Febroniusza

Gdzie?

„Zatrzynał się na tym pierwszym schodzie, gdzie go ta nowina spotkała i przez moment był jak ogłuszony, aż Rębski pomiarkował, że tu jest coś niezwykłego.

— Pozwoli szanowny pan, że go na górę poprowadzę — rzekł. — Pomieszkanie puste jest, więc zamknijcie, ja mam klucze od niego.

— A... pan masz klucze... — powtórzył p. Andrzej. Choć stanowczy zawsze zimnej krwi, stracił teraz ten przymiot szacowny i prawie machinalnie szedł po schodach dlatego, że były przed nim...

Przecież, gdy się już u drzwi znalazł, zatrzymał się. — Gdzie pojechał? — zapytał Rębskiego głosem spokojnym, który był przecież dziwnie suchym i jak gdyby z przymusem wydobywał się z gardła.

Ten spojrział na niego wzrokiem naiwnego zdziwienia.

— Szanowny pan nie wie tego? A ja sądziłem, że on po to na wieś jeździł, aby się szanownemu panu opowiedzieć... Z początku myślałem, że to jakiś zawód miłosny, bo Stanisław coś o tem natrącił, o jakimś poznanym i zaraz straconym ideale kobiety; ale gdy potem chciał tak zaraz, tak pilno jechać, tak nagle prosił o wyrobienie paszportu, przyszła mi do głowy myśl inna, i zląkłem się. Zakreśliłem się tak, że we dwadzieścia cztery godzin mógł jechać...

Chciał się tłumaczyć z przejęcia kancelaryi Stanisława, ale p. Andrzej nie dopuścił do tego.

— Dorosły syn powinien mieć wolną wolę postępku swoich — rzekł przerywając mówiącemu. — Uważam z góry, że wszystko, co Stanisław zrobił, zrobił z punktu swego widzenia dłużej — rzekł spokojnie.

Tylko szanowny pan nie spodziewał się, aby wyjechał tak prędko... — rzekł Rębski, który psym chologiem nie był i wcale nie miarkował, co się działo w sercu ojca, patrzącego na puste kąty, z których wyniósł się tak nagle syn jego jedyny.

— Gdzie pojechał? — powtórzył p. Andrzej krótko.

— Paszport wyrobiłem do Francji, ale wspominał coś o Algierze. Zawsze był wielkim romantykiem i jeżeli jeszcze przyłączyło się tu coś sprawy miłosnej, to gotów tam się puścić.

— Ale to nic złego... W ostatnich czasach mizernie wyglądał, a wielu lekarzy uważa teraz Algier za naj-



Gia w i arty w rowach strzeleckich przy linii kolejowej Lublin-Kowel.

lepszą stacją klimatyczną. Od czasu przekopania Kanału Suezkiego Egipt stracił pono na reputacji...

— Pan 'Andrzej nie dał mu dokończyć.

— Dobrze zrobił, skoro zrobił, jak chciał — rzekł.

W pomieszkaniu, mimo wszelkich zaprosin Rębskiego zostać nie chciał i zabrał się zaraz do wyjścia.

— Weź pan klucze, jakby mnie tu wcale nie było — rzekł — jadę zaraz...

— Jak to? na całą noc i tak bez odpoczynku? — zawołał p. Walery. Pokazywał, że pościel Stanisława jest jeszcze na miejscu nienaruszona przez nikogo, że zatem nocleg byłby tu bardzo wygodny, ale się spotkał ze stanowczą odmową:

— Nie mam już nic do roboty w Warszawie — odpowiedział mu Starowiejski. — Nocą jechać lubię.

Stanisław miał słuszość, twierdząc, że nie każdy może mieć taką siłę, taką moc panowania nad sobą, jak ten ojciec jego z szerokim czołem. Rębski ani się domyślał dramatu, który rozegrał się przed jego oczyma i żegnając p. Andrzeja, gdy razem ze schodów zeszli, życzył mu szczęśliwej drogi.

— Już to majowe noce zawsze są piękne — dodał — a teraz księżyc właśnie świeci...

Pożegnali się przy drzwiczkach powozu, lecz stanęli szeroko otworzywszy, gdy mu pan zadysponował, aby jechał z powrotem do rogatki.

— W Raszynie popasujemy — objaśnił zdziwionego.

— 'Ale proszę jaśnie pana...

Nie tylko nie mogło mu się pomieścić w głowie, aby ktoś jechał do Warszawy na pół godziny, ale miał w kieszeni długi spis sprawunków, które gospodyni kazała mu koniecznie zrobić, przecież nie dokończył protestacji, bo spostrzegł, że pan jest dziwnie błądny.

Miał lepsze oczy od Rębskiego, który tego nie dostrzegł, bo spieszył się do domu, gdzie spodziewał się klienta, będącego grubą rybą. Dla miłości Stanisława poświęcił jego wizytę, ale kazał nie tylko dependantowi, lecz i żonie przeprosić go za to, że wyjść musiał w pilnym interesie i dopiero jutro rano widzieć się z nim można. Cdy przecież rzeczy ułożyły się inaczej, chciał



Niemiecy żołnierze z maszynami toczącymi w przejściu przez spaloną wieś na Wołyniu.

z tego skorzystać, bo ludzie niebogaci, obracający w deptaku życia ciężkie żarna codziennej pracy na chleb rodziny, stają się z wolna tak obojętnymi na wieli rzeczy, że niedobrze patrzą i niewiele widzą w koło siebie.

Poszedł więc w swoją stronę krokiem śpiesznym, a powóz wytoczył się z wolna z bramy na bruk miejski i zwrócił tam, skąd przybywał. P. 'Andrzej, który stawał się coraz bleśszym w miarę tego, jak nie potrzebował wysilać się dla oczu ludzkich i pozwalał spokojnie krwi zbiegać do serca, rzekł sobie z rzadką u niego melancholią:

— Tak... noc będzie księżycowa i zaśnie świat srebrzystą luną...

Kiedy powóz przebywał plac Teatralny, wózek Stanisława przebrał się już poza Pragę na szosę, a on zwołał trochę koniowi. — Teraz już pomału mój gniady — rzekł. — Nie mamy się czego spieszyć.

— Ha! — dodał — wydostałem się już nareszcie z ciżby, z tłoku... wydostałem się na swobodę.

— Nic nie zostało, co by mnie płakało — szepnął z goryczą, ale potem podniósł głowę. — Otrząsnę ja się, otrząsnę się z tego smutku, któryby mnie prędko zjadł — zawołał w sobie, zapalając się...

— Bajka o 'Anteuszu musi się sprawdzić na mnie...

Dotknę się ziemi, stanę na gruncie starym i wstąpię we mnie siły nowe. Chcę pracować i będę pracować, czuję, że jeszcze mogę, że jeszcze nie zapóźno... Tam, gdzie mnie ludzie znają, byłoby mi trudno. W nas wszystkich, synach szlacheckich, pokutuje fałszywy wstyd, który łamie na świętsze postanowienia, najlepsze nasze chęci i dlatego uciekam w świat... w świat... bo kto wie, czyby mnie nie złapał kiedyś w chwili słabości ten jędznej, której każdy z nas ulega, lub władz może nagle. Buła to, pycha stara... która nam w krew weszła. Nieopatrni, rozrzutni, szaleni, nie umiemy potem zawrócić, nawet już żwędę, gdy nas te szaty odstąpią, a to przez lichą dumę głównie. Wstyd nam być ubogimi, wstyd nam pozbyć się tej pańskości, dla której strzępek wyszarzanych pogażamy się coraz, coraz głębiej w dół — zapadamy się w ziemię! 'Ale ja nie chcę skończyć tak nędznie, tak nikczemnie... Jakaś kropla krwi rycerskiej jest jeszcze we mnie i ta kołatać mi dońd w sercu. Chcę żyć! chcę żyć!...



Austro-węgierski patrol zajmuje wzniesienia nad Isonzo.



Defilada wojsk austro-węgierskich przed generalfeldmarszałkiem v. Mackensen w Lublinie.



Przejazd Trenu austro-węgierskiego przez wieś za Lublinem.



Austro-węgierski patrol kawaleryjski nad Bugiem przy moście pod Soka-em.

Zdjął kapelusz, zapuścił palce w jasne swe włosy i odgarnął je z czoła, które mu ochłodził lekki wietrzyk wschodni, wiać poczynający od chwili zachodu słońca.

— Życie chcę! — powtórzył.

Uwoził jeszcze z tej ruiny swojej trochę pieniędzy i tak, jak to powiedział temu uczciwemu krawcowi ze Starego Miasta, który szył mocne suknie dla ludzi pracujących, postanowił sobie zdobyć kawałek ziemi i sam ją orząc, choćby sochą prostą, zmęczyć w tej pracy i zrzucając z siebie człowieka starego, podnieść się innym, nowym, lepszym, niż tamten dawny, stanąć na zaoranym przez siebie zagonie, który musi mu rodzić dużo kłosów pełnych, bo go znajom swoim podaje. Wierzył w to silnie, że tak być może, wierzył i w to, że trud kolo ziemi jest zdrowy i ożywczy, że wydobywają się z jej łona emancypacje, z którymi wchodzi w pierś ludzką siła i hart.

— Wrócić do starej tradycji kmieci — mówił sobie i byłby to prawie człowiek szczęśliwy, bo człowiek, który się spodziewał dokonania rzeczy dobrej, który miał w piersi miłość i wiarę w tę rzecz dobrą, gdyby nie jadał mu serca żal zerwania z ojcem.

— On ani wie, jak ja go kocham — szeptał sobie, a miękkość dawna zaczynała mu przytęm wstępować w serce, zaczynała go rozbierać tak, że mógłby być z tęsknotą żalostną wyciągać ręce w stronę, gdzie wyobrażał sobie tego ojca — ani on wie!... Ach! on mocny, oddepchnął słabego, bo nie widział w nim takiej podpory dla starości swojej, dla planów swoich, o jakiej marzył od dnia, gdy mu powiedziano: urodził ci się syn... Może przecież byłby mógł podeprzeć tę słabszą, niż on sam latorośl swoją, ale za surowy jest... Ha! niech utworzy sobie nowe szczęście, nową rodzinę... syn pierwotny przyjdzie przecież kiedyś mu: Patrz! i ja przecież nie jestem zupełnie lichy i nędzny. Upadłem, ale dźwignąć się umiałem...

W pierwszym rozdrażnieniu Stanisław myślał zginąć dla ojca na zawsze, ale była krótka ta chwila zła. Teraz mówił sobie: »Wróć, gdy będę mógł stanąć przed nim spokojnie i nie schylając czoła. Ale chwili tej nie stawiał sobie blisko nie jeden rok, nie dwa, nawet nie trzy dzieliły go w wyobraźni wzruszonej od tego dnia, w którym po-

wiedziano o ojcu jego, że przybył ktoś, gość jakiś nieznajomy, który chce się z nim widzieć.

Gdy teraz, jadąc stępą, zmrokiem już ciemnym i okolicą zupełnie mu nieznaną: płaską, lesistą i niewesołą dumał o tej chwili, na li-
-a wybił mu się nagle rumieniec, co wyobraźnia ukazała mu obok postaci ojca, postać kobiecą, wysoką, ciemnowłosą, z greckim czołem szafirowym oczyma, postać Jagwigi, i coś się w nim szarpnęło jak żywo, że mimo woli popędził z nią, jak gdyby zapragnął uciec prędzej w dal przed tem widzeniem, które go dręczyło, które sięgnęło mu do serca i zatargało niem. Ale powoli uspokoił się; wzruszenie, które można by nazwać zazdrośnem, opadło, stłumione siłą woli, wołającej nań surcwo: »Tu ci nie wolno wkraczać... tu nie przedmiot dla sennych widzeń twoich.

Ale po chwili pewnej i koń z wolnił kroku i jego znów obstały mary śnione na jawie, a myśl uparta wracała do jednego przedmiotu, do tego tryumfu, który mieć musi jego życie — do momentu, gdy stanie przed ojcem i powie mu: »Patrz, ojczu, nie jestem ja przecież nic niewartym człowiekiem, próżniakiem bez godności, pasożytem, który karmi się tylko owocem pracy innych! I moje życie ma zarobek jakiś... zarobek uczciwego człowieka, którego czoło uznało się nieraz, który nieraz jęknął boleśnie w chwili ciężkiej, ale który nie upadł jednak tak w kałużę błotnistą, w dół ten głęboki, z którego już się nie powstaje«.

Lica mu teraz gorzały rumieniem ognistym. Może on będzie wtedy uboższym, niż jest dziś, może lokaj każe mu czekać w przedpokoju, w ganku nawet, ale mimo to — tego nawet był pewnym — mimo to będzie mógł zawsze stać przed ojcem prosto, spokojnie i powiedzieć mu: — Ojczu...

Księżyc teraz podniósł się na niebo, bo był to czas bliski pełni; powietrze całe przejęło się jego światłością srebrną i Stanisław jakos łagodniał pod wpływem tego wdzięcznego oświetlenia, które zmieniło i charakter krajobrazu. Okolica z posępnej stała się tylko jakąś senną i smętną — rozmarzoną.

Tak, jak tą pierwszą nocą księżycową, jechał Stanisław dni kilka, rozmyślając, rozmawiając sam ze sobą, to rozżalony, to rachujący na przyszłość, a zatrzymujący się najczęściej po wsiach, w karczemkach



Na ruinach Kryłowa na Wołyniu żydówka opowiada żołnierzom austro-węgierskim o zachowaniu się Rosyan.



Z południowego frontu Austro-węgierska kuchnia polowa w Gorycy.



Szczątki fortyfikacji Warszawy zburzone przez działa niemieckie.



Zwierzęta juczne z karabinami maszynowymi na południowym terenie wojny.

schłodniejszych. Konia zawsze sam sobie poił i u żłobu wiązał, sam mu siana zakładał, owsa nasypywał, a potem kładł się w wasążku swoim, przykrył burką i zasypiał znużony. Czasem sen wracał go w świat dawny — dawne życie i jego dramata otaczały go, szarpały nim i nieraz zrywał się z piersią wzdętą, rozgorączkowany, niekiedy nie umiejący zdać sobie sprawy, gdzie jest, i co się z nim dzieje, skoro ujrzał się na półkoszku swoich w miejscu nieznanym. Z przytomnością wracał ból serca i gorzkie uczucie wykończenia, osamotnienia; ale bywały i takie chwile, że doznawał wielkiej ulgi, uczuwał w piersiach serce lżejsze, gdy widział przeszłość odciętą od siebie i w tyle gdzieś pozostałą.

Raz szczególnie, rankiem jednym, gdy położywszy się już dobrze po północy, przespał snem twardym nemiął do godziny szóstej, obudził się wypoczęty, zerwał się na nogi dziwnie rzeźki, słysząc w kolo siebie ruch pracowniczego życia, które się tu zaczynało już tą wczesną dnia godziną. Stróż rąbał drzewo gdzieś za ścianą i wyjeżdżał już wóz jakiś, a na nim młody chłop, z babą swoją, młodą też i ładną, wesoło krzyknął na dzieciaki gospodarza, bosa i w koszulinach tylko: — Z drogi, bo przejadę!... Wstąpiła i jemu w serce jakaś energia podobna przejeżdżania wierzchem potem, co mu kładło się zawałą przed życie, a gdy odkryte czoło owiał mu chłodny, świeży wiaterek



Bawiące się dzieci w Gorycy.

poranny, on je podniósł i wciągnął w pierś orzeźwiające tchnienie dnia wiosennego. Młodość ma swoje prawa, siła, która w niej jest, rozlewa się po żyłach i krążąc w nich pełnią soków życiodajnych, odzywa się z głębi piersi ludzkiej i daje znać o sobie, jak sprzymierzeniec, który mówi: — Jestem i pomogę w trudności, w zwalczaniu przeszkód, w dźwiganiu ciężarów.

Ze Stanisławem tak było tego poranku. Wczoraj o zachodzie słońca przejechał Bug, wjeżdżał już w strony, których nie znał, i doświadczał pewnego wzruszenia. Pędził konia, choć zwykle jechał wolno, jak należy temu, który mu przed sobą drogę dłuższą, ale teraz chciał, jak gdyby przegonić wrażenie oddalania się od rodzinnych kątów i jechał tak ogdzin kilka, nie oszczędzając gniadego, a potem za to, utrudzony, spał mocno i obudził się z uczuciem jakiejś nowej, rozwiniętej w nim siły.

To usposobienie pomogło mu, że mniej zamknięty w sobie, poglądał dziecko, które się kolo niego płatało, potem przy śniadaniu w pustej już izbie zajezdnej porozmawiał trochę z karczmarką i karczmarzem o okolicy, o stosunkach, i usłyszał parę szczegółów, które mu się przydały. Ale to już przydało mu się najwięcej, że zaczął się otrząsać z przynębnienia, które go gniotło, że wydobył się niejako z głębi serca swego, z toni uczuć, które rozkołysane tam były boleśnic. Życie realne zastępowało mu też drogę, bo nie mógł przecież jechać wiecznie przed siebie, i musiał raz sobie powiedzieć, że już jest dość daleko od tego, przed czem uciekał: dość daleko, aby mógł tu już zginąć dla swojego wczoraj. Nazwiska, prawnej osoby swojej zmieniać nie chciał, i miał przy sobie wszystkie papiery, potwierdzające urzędniczo jego tożsamość. Wiedział, że listów gończych nikt tu za nim nie wyśle, że nikt nie będzie poszukiwał go tu jako zbiega; wiedział, że utonie cicho w mrowiu ludzi, pracujących na chleb i zbitych dołom. Niejeden, który tego nie chce, któryby pragnął »nie być jak żaby, co się w bagnie tają« samą siłą rzeczy idzie w tę głąb, tającą istoty ludzkie, coż więc on, który się na wierzch, na pokaz wyrwać nie żąda?... Tam, skąd odjechał, wkrótce o nim zapomną, pogadawszy może trochę; tu powiedzą, że zwyczajnie przyszedł człowiek z trochę grosza, który sobie szuka kawałka gruntu, dającego się nabyć jak najtaniej i pójdzie w ciżbę ludzką, jak kamień w wodę. — Najlepszą maską na twarzy naszej jest nic nie znaczyć — powiedział sobie z pewną goryczą, i jako Stanisław Starowiejski, który ma to imię i nazwisko zapisane w legitymacjach swoich, puścił się w świat, mówiąc sobie, że gdy już przebędzie pewną odległość, zatrzyma się w pierwszym lepszym miejscu, gdzie mu się będzie wydawać zacisznie i nie bardzo przykro.

Za Kobryniem kraj stawał się bardziej lesistym, więcej było błot, szuwarów, często błyskało jezioro, ziemia nie wydawała się urodzajną, tu i tam wyglądały wydmy piaszczyste, uprawa pól okazywała się niższą, niż w jego stronach; ale on przecież powiedział sobie, że chce się z życiem, z pracą łamać, a błysnęła mu też i myśl, że tu właśnie pożytecznym być może. Folwarczek kupi między szlachtą drobną i zrobi z niego wzór dla innych.

Już mu i zapal pewien zaczął w sercu się wzruszać; jechał, patrząc już oczyma nieobojętnego widza, lub artysty, choć go i smętna pociąga tego lesistego, ubogiego platu ziemi chwytając, pociągając do siebie i oddziaływając coraz więcej. Cicho mu tu będzie; pracowite istnienie jego na coś tu się zda; marzył, i to się żywo do rzuconych przez siebie ideałów zapalał, to melancholijnie rozmarzał.

Jednego dnia popołudniu zajechał do małego miasteczka i powiedział sobie, że się tu zatrzyma i wiadomości

zasięgnie co do możliwości planów swoich. Gdzie takie piaski i laski, ludzie są ubodzy; niejednego potrzeba przy-
ciśnię, więc sprzedaje jaki łan choćby ojcowizny, i znajdzie
sobie gruntu kawałek. Jużby był odczuł to przykro, gdy-
by się tak nie stało, bo już tu chciał kotwicę życia zarzucić.

Niedziela była, lub pobożny z nabożeństwa właśnie
wychodził, gdy w zajezdzie się zatrzymał, ale tu już ko-
nia i węgier w opiekę miejscową zdał, a sam poszedł co-
zjeść i obserwacje czynić, bo wiedział, że taki zajazd mia-
steczkowy to w niedzielę dla okolicy punkt zborny. Zwy-
czaj to we wszystkich stronach jednakowy; kiedy nie do
dworu, nie do księdza plebana, to jak tu, do tak zwanej
traktyerni, która była razem i cukiernią i resursą miejsco-
wą, ludzie się zejdą, aby porozmawiać ze sobą a nawet
interes niejednego zrobić. On ich chciał zobaczyć, chciał się
z nimi spotkać na tym gruncie neutralnym, i kazawszy dać
sobie coś jeść, wsunął się z umysłu w kącie jak najdalszy,
bo stąd mógł najlepiej widzieć i słyszeć dla tego właśnie,
że sam widocznym nie był.

Było tu jeszcze pusto, gdy wszedł, słyszał tylko z dru-
giego pokoju dochodzące go uderzenia o siebie bilardo-
wych i rozmowy głośne, ale świat, który się tam zabawiał,
nie zajmował go, bo nie było wspólności żadnej między
nimi. Herbatę pił, czekając na zrazy, które mu miano podać,
a pokój zaczął się też zwolna zapelniać. Parę wiejskich
powozów przejechało koło okna, lecz i kilku mężczyzn
tu weszło, głównie z panów: z »obywateli«, jak się pospo-
licie mówi. Z waszeczki nie było nikogo i tylko on jeden
w kącie swoim przedstawiał ten pokorniejszy stanik sza-
raczków, do których miał się już odtąd zaliczać. Jaki taki
spojrzał na niego, wszedłszy, i poznawał zaraz, że obcy,
że podróżny, gdy przecież w kącie swoim nikomu nie prze-
szkadzał, więc nikt do niego nic nie miał i raz okiem rzu-
ciwszy, zapominał, że ktoś nieznajomy tu jest. Witano się
wzajem, rozmawiano, a Stanisław nie gniewał się, że mu
zamówione jedzenia nie przynioszą — słuchał.

Ciąg dalszy nastąpi.

JÓZEF GALUSZKA.

ŻALMI

W dół leżą maków płatki purpurowe,
spadając z cicha po flakonach dzwonią,
Jam jej więc szukał w dzień, w noc, wieczór rano,
Przed bramą każdą stawałem — żebrząc
Szczyptę miłości, bom był jej łaknący! —
Lecz mię z szyderstwem na ustach — wyśmiano!

I ciągle, ciągle ja za nią gonilem!
Jak błędny tułacz wśród życia goryczy,
Lecz mi nie dano zaznać jej słodyczy!
Więc pelen bólu, zawiedzion — wróciłem!
A gdy Cię, Matko, w progach domu witał,
W Twych oczach miłość szukaną — wyczytał!

♦♦♦♦

JAN CHELMIRSKI.

Tęsknoty-Posły.

Wysłałem niecierpliwe mę żarne tęsknoty
na wszystkie światła strony, wszystkie dróg rozstaje
— skrzydlate wieści-posły — hen, w dalekie kraje:
czyli gdzie zoczą rydwan mej królowej złoty...

Powróciły żałośnie, chore, osmiętniałe
i żal mi beznadziejny w źrenicach przyniosły



Wjazd niemieckich ułanów do Iwangrodu

i rozpacz niezgłębioną — me nieszczęsne posły —
zwichnięte, w krwi zbroczone wlokąc skrzydła białe.

I obsiadły mnie wokół, opłotły skrzydłami,
nie śmiejąc spojrzeć w oczy moje, że na krańce
światów latały darmo — posły-obłąkańce —

że były nie radości, lecz smutku posłami...
A ich, wpatrzone w pustkę, wylekłe źrenice
kryją nieodgadnioną losów tajemnicę...

H. HEINE (Tom. Bogdan Zwiecz *).

Do mej matki.

Niegdyś, przed laty jam porzucił Ciebie,
By, choć na krańce dalekie pójść świata,
Sukać miłości, co więzi opłata
Tak serce ludzkie, że się czuje w Niebie!
Jakby czas stukał swoją drżącą dłonią
o szkło klepsydry odstępów miarowe...
Cicho... czas idzie przez moje komnaty;
czuję go... dyszy; przybliżył się ku mnie...
słyszę: gdzieś grudy łoskocą po trumnie...
nie; — to spadają krwawych maków płatki.

*) Tłumaczemi z r. 1908.



Zdobycie warszawy. — Forty na Pradze, z którą Rosyanie
ostrzeliwali Warszawę.



Król Saski Fryderyk August w rozmowie z zastępcą austro-węg. szefa sztabu feldmarszałkiem y. Hoeflerem.

Z mego anioła, com wyśnił go w duszy,
po jednym leć nadół pióra złote;
żał mi, bo jeśli wiatr silniej poruszy
nie nie zostawi — a może tęsknotę
i duszę nagą, jedynie kobiecą,
żał mi, lecz pióra złote leć... leć...

Lipiec, 1915.

JAN CHEŁMIŃSKI.

M A T K A.

(Opowieść ze wsi polskiej.)

Zaraz w progach samotnej chaty serce Malskiej opadły złe przeczucia i myśli zimory. Robota szła jej niesporo. Opuściły ją resztki sił i chęć do pracy. Jenó całymi godzinami wysiadywała w progu chaty, zapatrzona w dal, czekając na wieści od syna. Z początku wieści te przychodziły codziennie, potem co dwa, co trzy dni — co tydzień — wreszcie bardzo rzadko... A tęsknota rosła i trosk przybywało. Niepokój nękał żbolałe serce...

Już i jesień szła coraz późniejsza. Dzień po dniu wleki się ociężałe — wśród słoty ustawicznej. Jenó Dunajec coraz silniej zbierał, pieniał się i wrzał — jakby się gniewał i mijał wściekły, iż w monotonię jego plusków wdzierają się intruzy — dawno nie słyszane echa huków armatnie...

Wieś niezwykłą przybrała postać. Wojna... Chłopa nie uświadczysz prawie, choćbyś szedł milami. Jedynie baby trąkocą więcej, niż dawniej, krzątając się ze zdwojoną energią wedle gospodarstwa i dzieci pędząc do posługi. Nie dziwota: wszystko się przeciągało — gdzie niekiedy rola ani w polowie nie zaorana, a zimna słońta już siąpi i siąpi — dzień w dzień... Stare chłopcy pochowały się po chałupach, wedle przypiecka — i kłują głowami...

A huk armatnie coraz głośniejsze, bliższe. Najspieczniejsze wieści kursują po wsi.

— Mochy idą... Mochy...

Szepczą baby po kątach — zakopują ziemniaki, zboże — ostatki siana i słomy, co jeszcze pozostało, wylkają popod zręby, po strychach, bo to — powiadają — nic się przed tym „burkiem“ psawiają nie ostoi...



Zdobycie Lublina — Arcyksiążę Józef Ferdynand w rozmowie z przedstawicielami miasta i duchowieństwa.

Długie szeregi wozów podwód przeciągało przez wieś — kajsi hen, na zachód. I nikt się obcy we wsi nie pokazywał. Jenó wieści o nadciągającej moskiewskiej powodzi coraz częstsze... A grzmot dział coraz bardziej złagwieszczy...

Niespokojność rosła. Ludzie kryli się po chałupach — przez okna tylko i z poza węgłi wyglądały w dal niepewną wpatrzone oczy...

[Za niedługo już — pod wieczór — od Dunajca ukazała się kozacka patrol. Podejrzliwie, zwolna zapuszczali się kozacy do wsi. Wśladał za nimi wieś cała zaroila się od „burków“. Rozpoczęły się zwykłe poszukiwania za „Awstryjczakami“ — a właściwie rabować nie wszystkiego, co tylko pod rękę wpadło.

Wreszcie i to ucichło nieco — jenó w sercu matki stary burza ani na jedną chwilę nie milkła.

Malską dżiamy i no.ami trudy serce nękające myśli. Niepokój rósł. Goręcnym jad sączył się w duszę czemraz obliciej...

Tak upłynęła jesień — przyszła zima.

Aż tu pewnego ranka zbudził Malską łomot strażaków karabinowych. Jeszcze mrok leżał na ośnieżonych polach. Dniało. Kilkanaście postaci zbliżało się ku chatcie. Byli to legionisć. — Opodał wrzał bój z Moskalami.

W domu Malskiej założono stację opatrunkową. Za niedługo przyniesiono pierwszych rannych. Malska wedle możności pomagała przy opatrunkach, przemywała rany, karmiła żołnierzy herbatą, mlekiem — co tylko miała w chacie.

Grzechot karabinów rósł, potężniał. Strażaki coraz to piekielniej grzmiały. Kule ze świstem przelatowały obok chaty. Rannych coraz więcej napływało.

Malska pracowała gorączkowo. Schylając się nad rannymi czuła, że w niej zamiera serce z lęku o syna. Złe myśli tłoczyły się do mózgu. Zdawało się jej, że w którymś z tych pokrwawionych, kulami pokłutytych bohaterów rozpozna Stacha. Nie stało jej odwagi, aby się o niego zapytać, choć drogie to imię cisnęło się jej raz wraz na usta.

Naraz, gdy się pochylała nad świeżo przyniesionym rannym, zakrzyknęła strasznie. Był to krzyk lwicy, której wydzierają szczenięta, krzyk rozpacz, gdy to serce rwie się w kawały, gdy już myśl ze zgromyżniera.



Sztab zwycięskiej armii na podwórzu Koszarowem koło Włodawy.

Ranny zwo'na otworzył oczy. Błędne były i bez wyrazu. Z hoku, od serca, sączyła się krew cieniuchną wstęgą. Naraz źrenice nabrały dziwnego blasku. Poruszyły się wargi. Widać było nadludzkie wprost napięcie, gdy siniejące już usta wyszeptaly słowo: „Matysiu”... — I znów źrenice zaszyły mgłą — błędne paln trzały na twarz matki. Wnet zgasty zupełnie. Jeno dłoń już zimna ścisnęła dłoń matczyną.

Długo Malska trwała skulona nad zwłokami Stacha, jakby zakamieniała, wpatrzona w martwe źrenice, w których panował już majestat śmierci.

Nagle rzuciła się piersią na martwe ciało. Chuchała, piściła, całowała. Daremno. Łzy i pocałunki matczyne bezsilne były wobec przemocy śmierci.

Wtem porwała się od zwłok. Krew syna zlepiła jej siwe włosy, splamiła ubranie. Oczy jej żarzyły się strasznym blaskiem. Ramiona wzniosła ku niebu, zaciśnęła pięści i poprzez zwarte w wściekłości zęby zbieżnymi wargi wybelkotała przekleństwo: psy!... I popędziła, gdzie jeszcze trwał bój.

Po drodze podniosła karabin z najeżonym bagnetem (może to Stachowa broń?...) i runęła ku okopom Moskali. Wichura rozwiała jej krwią syna ociekłe włosy. Jak straszna Erynia była w tem wściekłym zapamiętaniu zemsty.

Kule świszczały naokół, dziurawiły jej rozwianą spodnicę, syczały kolo uszu, jak osy...

Jak rozjuszona lamparica wpadła na szeregi Syberyjczyków. Raz wraz ostrze bagnetu nurzyło się aż po rękojeść w cielska żołdaków. W końcu zaczęła walić kolbą. Czaszki pękały, jak czerepy gliniane — Chłop za chłopem wałił się z nóg.

— Psy... zbójce!... To za Stacha!... To za Tadzia! Psy... morderce!...

Mużuki pierzchali, żegnając się i szepecząc: „Czort! czort!” Rzuciła się w pościg ława Legionistów. Na przedzie szalała Malska, czyniąc krwawe żniwo śmierci-zemsty — aż padła od kuli...

Po zwycięskiej walce dzielni Piłsudscy na wzgórek wedle sadem otulonej chaty dwie proste trumny kłakli do jednego grobu.

A wichr grudniowy wył — i grał... A po zczernię



Zmarły niedawno Kardynał Serafino Vanutelli był nuncjuszem papieskim w Wiedniu od 1880 do 1887 r.

niałych od wielur i prochu żołnierskich twarzach — gdy grudki sypano na trumny — grube łoczyły się lzy... Budziszów, 1915.

HALINA YOUNGA.

Pan kapitan.

NOWELA.

Cafy Lwów znał pana kapitana. Znała go w każdym razie ta część Lwowa, która w godzinach wieczornych „robiła korso” na Akademickiej i Karola Ludwika. Znała niewysoką, szczupłą postać, regularne a surowe rysy i automatyczne ruchy żołnierskie. Pan kapitan zawsze o tej samej porze zjawiał się w ulubionej kawiarni, gdzie wypijał codzienną kawę, czytał gazetę i dawał jednakowy napitek kelnerowi. Potem wychodził na ulicę. Przeciskał się przez srogi tłum, nie potrącając nikogo, a jednak nie tracąc ze swej sztywności i znajdując czas na odsalutowanie każdego żołnierza. Przechodził kilka razy tam i na zewnątrz, poczem szedł do domu.

Dom kapitański nie był wesoły. Dwa pokoje i kuchnia, tworząca zarazem pomieszczenie dla „Burscha”. W pokojach skromne meble, pamiątkowa broń, kilka obrazów olejnych i fotografii na ścianach. Na stole książki, mapy, studia. W dwu wielkich szafach umieszczone rzeczy między którymi pokaźne miejsce zajmowała bajeczna ilość białych rękawiczek skórzanych.

Na pięknie tego domu nikomu nie zależało. Wystarczało, że był porządkowy i czysto utrzymany. Pan kapitan dusił służącego o dobre froterowanie i wygubienie robactwa, jeżeli pozostało po poprzednich lokatorach. Pozatem prawie nigdy nie było go w domu. Zrana wychodził na ćwiczenia, wracał, by się przebrać i szedł na obiad, popołudnie zajmowały wizyty, przeważnie ceremonialne — kawiarnia i spacer. Wieczorami czytywał.

Swojej rodziny nie miał, a stosunki z dalszą ograniczały się do wizyt, oraz pisanja imiennowych i świątecznych kartek. Rodzice od dzieciństwa kochali go najmniej z dzieci. Z matką nigdy nie był na serdecznej stopie, a wskutek nadmiernej surowości ojca zwichnął

był karierę w samym początku. Mimo to, gdy ojciec umarł, ra pogrzenie gorące, choć tłumione łkanie wydierało się z piersi pana kapita. On też następnie poczytywał sobie za obowiązek utrzymanie matki.

Z rodzeństwa najbliższy żył z braterstwem, zapewne dlatego, że mieszkali w tem samym mieście. Bywał u nich dość często wśród roku i tradycyjnie zapraszano go na święta — ku uszczęśliwieniu dzieci. W każdą wigilię świąt bowiem przedpokój domu był świadkiem stereotypowe jsceny. Około jedenastej rozlegał się dzwonek. Otwierają drzwi, w których ukazuje się pan kapitan. Z poza jego ramion widać pucołowatą twarz „Burscha“, obładowanego paczkami (pan kapitan sam nigdy paczek nie nosił). Zjawiają się dzieci. Pan kapitan na powitanie po dwakroć całuje każde w czoło i rozdziera słodczyce, lub książki. Następnie wręcza bratowej tradycyjne róże. Na czynione wymówki odpowiada dwornym ukłonem, aż szabla i ostrogi dźwięczą, a „Bursch“ w kącie wyłupia oczy...

Pozatem pan kapitan nie bywał prawie. Od czasu do czasu składał należne wizyty przełożonym. Stosunki z kolegami uważał za zbyt kosztowne, więc ich unikał, a zabawa wogóle go nie nęciła. Nie tańczył, nie grał w karty, nie był podążającym partya, ni ujmującym causeurem...

Pewnej zimy odstąpił był nieco od zasady. Nie zaniebyszał żadnego fixe u wieczoru, czy rano, na którym miała być jedna ze znajomych panien. Podobno gorąco ją kochał Panna jednak wołała innego, więc kapitan bywania zaprzestał.

Od tej pory dzielił czas między swoje skromne przyzwyczajenia, a kasarnię. Codziennie zrana prowadził kompanie na ćwiczenia. Szli żołnierze przez pustą jeszcze ulicę, budząc je trąbka i miarowym odgłosem marszu. Czasem z kąta wyrwał się jakiś mały obszarpaniec, „baciarcz“ z gródeckiego i darł przed wojskiem, wyśpiewując niezbyt zgodnie z metodyą:

„Idzie wojsko, banda gra,

Pan kapitan szablę ma“...

Za co najczęściej bywał spiorunowany wzrokiem para kapitana. Wtedy zmykał, gdzie pieprz rośnie, czy też, gdzie go sprzedają — i z kąta sklepiu dziwił się marsowej minie „hauptmanna“.

„Hauptman“ zaś nie tylko u małych oberwusów, lecz i w kompanii nie cieszył się popularnością. Był dla wszystkich zbyt surowy, dla niektórych zbyt prawy. Niejednemu wadziły też jego przekonania polityczne. Pan kapitan bowiem nie sprzyjał Rosynom i w każdym calu łokłował zasadom antysemityzmu. Pewnego dnia przyniósł bratankowi dzieło o Poniatowskim Skalkowskiego — „Askenazy to żyd“.

Takie poglądy, obok nieugiętego charakteru sprawiały, że pan kapitan stał pozostawał w złych stosunkach z podoficerami, a kilkakrotnie miał poważne nieprzyjemności. To też corocznie oddychał z ulgą, gdy wyjeżdżał na kilkutygodniowy urlop — najczęściej, lubiąc Czechy, do czeskich wód.

Tam zastała go mobilizacja przed wojną. Wezwany, stawiał się do szeregu i natychmiast wyruszył na granicę. Przed odjazdem pożegnał się z rodziną i spisał testament. Na czas jakiś słuch o nim zaginął.

A zwycięskie armie generałów Auffenberga i Danikla posuwały się naprzód w Królestwie. Dalszą granicę wschodnią trzymano małemi siłami.

Pewnego ranka, na jednej ze stacyj nadgranicznych, kompania piechoty gotowała się do odjazdu. —

Przy załadowywaniu kuchni, bagażu, koni wrzał gorączkowy ruch. Nagle nadjeżdża ktoś z wiadomością, że zbliża się znaczna ilość kawalerji rosyjskiej. Żołnierze machinalnie zaprzestali roboty i uczyniło się cicho.

Dowódca kompanii przyłożył szkla do oczu. Pastryż przez chwilę. Wtem opadła ręka z lunetą, a pan kapitan zwrócił się do swoich ludzi. Zmienił się do rozpoznania. To już nie ów oficer automat co pilnował musztry i wybijania „eincyków“. Rozgorzało coś w jego twarzy, a chłodne szare oczy błyszczały dziwnym ogniem.

Komenda... Poskoczyli żołnierze i momentalnie oddział stanął pod bronią. W każdym chłopie tłukło się serce. Nie żeby się bał, lecz że nigdy tak groźnym nie widział swego kapitana.

Wystąpił przed front. Szczupła jego postać w oczach rosła. Wydobyl palasz i przy pochręście karabinów —

— Żołnierze! — zagrzmiął. — Niedługo będziecie walczyć z Moskałem. Pamiętajcie, że walczyacie nie tylko z nieprzyjacielem monarchii. Walczycie z odwiecznym wrogiem naszym — walczycie za wasze domy i za Polskę! Brońcie jej, jak prawdziwi Polacy!

Tu załamał mu się głos. Moment walki ze sobą samym... i nagle szabla wzniosła się w górę:

— Niech żyje Polska!

W obliczu śmierci wyzwolił się duch kapitański... Szeregi stały skamieniałe. Chwila uroczystej ciszy. Przemienia się starcie przednich straży — przemienia w coś nieskończenie większego...

A już kozacy i dragońskie szeregi ukazują się z oddali. Kompania stoi.

„Idzie wojsko, banda gra,

Pan kapitan szablę ma“...

Kompania stoi. Banda nie gra. Lecz gra słońce na szabl i pana kapitana i słońcem jaśnieje twarz. Skupiona, poważna, a rozbłyśnięta dziwnie. Gra słońce na szabl i po chwili błysk słońca wskazuje żołnierzom nieprzyjaciela.

...Odparto pierwszy atak. Kozactwo poszło w rozsypkę. Lecz niebawem Rosyane ponowili natarcie, tym razem silniejsze. Zjawia się skądś piechota — może spieszeni dragoni. Przez jakiś czas regularny ogień odpowiadał ogniom. Z obu stron poczęli ludzie padać. Kompania nie ustępowała.

Wkońcu zaatakował ją cała siła — napadli ze wszech stron piechotą i konnicą. Część poszła na bagnety. — Błysnęły w powietrzu ostrza, wysoko dźwignięte w ręku roslých chłopów z południowo-zachodnich gubernii. Rzadziej już słychać gwizd kul. Teraz noże, mówią słowa śmierci, noże, szable i spisy.

Kompania godnie odpowiada. Stoja — linia nie łamie. Biją się rozpaczliwie — do ostatka mimo olbrzymiej przewagi wroga. Biją się „za domy swoje i za Polskę“...

Szczupła postać kapitana widnieje wśród zbitej gromady. Dostał już dwie kule w piersi. Ogniki latają mu przed oczyma i w uszach szumi. Chwieje się.

— Krzycz pardon! — wołają na niego tamci. Pardon? Jakże to? Panu kapitanowi zdaje się, jakby słyszał śmiertelną obelgę. Stracił gdzieś szablę, ale wyciąga rewolwer zza pasa. Mierzy — bez pardonu!

Wtem przyskoczył kozak i zgnał go spisa, aż wyszły wnętrzności... Kapitan opadł na ziemię. Powstać już nie mógł.

Walka o stracony posterunek dobiegała końca. —

Przeważna część żołnierzy legła, kilkunastu zdołało uciec. Ranni wpadli w ręce nieprzyjaciela.

Nazajutrz kapitan samotnie dogorywał na dworcu. Rozciągnięty na noszach, rozpruty i okrwawiony, robił wrażenie trupa. Surowe rysy wydawały się zastygłe. Tylko od czasu do czasu rozwierały się powieki i bolesny skurcz przelatywał po twarzy. Skonał, nim go wraz z resztą rannych donieśli do pobliskiego klasztoru.

W następnej liście strat ogłoszono jego nazwisko przyozdobione pośmierdnym orderem z dekoracją wojenną. Honoru wojskowe przy pogrzebie oddał mu nieprzyjaciel.

HAL'NIA KORWIN.

Na posterunkach.

Fragment.

Świt szarzał. Na dworcu rozpościerała się gęsta mgła. Chłoneła w siebie kształty budynków, gasiła blask kilku latarni elektrycznych, obejmowała wszystko swoim lepkiem, wilgotnym oddechem. Osadzała się na wąsach i szabli strażnika, chodzącego mjarowo po peronie, głużyła jego kroki i podźwięk szabli, razwraz uderzającej o kamienne płyty. Wyolbrzymiała rozplątne kontury maszyn stojącej pod parą na głównym torze i niesamowicie potęgowała jej chrapanie.

Cicho. Od czasu do czasu spieszniejszy odgłos kroków, mignięcie kilku nowych szyneli, przytomniejszy błysk zaspanych oczu maszynisty — i znów cicho. Bura mgła i bury gmach dworca i bury płaszcz strażnika.

Bura nuda. Na peronie śpi maszynista i żandarm. U drzwi poczekalni skulony drugi żołnierz, wewnątrz kilku oficerów rozmową przy kieliszku odpędza sen. Jeden pan naczelnik powiatu, dziś wobec wojny „Jewo Wieliczestwo“ pan pułkownik, nie bierze udziału. Zasiadł w kącie kanapy i drzemie, lub raczej nudzi się przerażająco. Nudzi się tem bardziej, że nie wypada mu ziewać, a przesiedział noc całą bezsennie i niewygodnie — „a qui vivre“. Lada chwila mogły się ukazać podjazdy pruskie... Pan naczelnik, wysławszy już w głąb kraju przedstawicieli władz, odtansportowaławszy poprzednio zapasowych powiatu i wszystkie ważniejsze kasy — sam czekał. Cekał, by ostatni zejść z posterunku. By mówiono w kołach miarodajnych, że postąpił, jak kapitan tonącego okrętu, jak bohater obowiązku — co przy jego randze i skłonieniu z pewnym znaczniejszym gubernatorem nie mogło mu żadną miarą zaszkodzić...

Na razie jednak pan naczelnik nudził się. Nużyła go szara mgła — symbol szarej rzeczywistości — nużyły anekdoty podwładnych oficerów i mdłe oświecenie poczekalni i monotonne meldunki przybywających żandarmów. Ogarniała go powoli coraz większa ociężałość, która w końcu zmieniała się w dziwaczny półsen, gmatwający ubiegłe wypadki, zlewający w nieforemną całość wizję wuja gubernatora z chrapiącym na szynach lokomotywą.

„Nagle szurgnięcie, brzęk ostróg.

— Wasze Wieliczestwo! — budził go ktoś z raportem.

Uczucie ociężałości zmienia się we wściekłość na przerywającego drzemkę strażnika, na dudnienie parowozu na dworze, na siebie samego, a przede wszystkim na czortów Germanców, którzy spowodowali całą tę historię.

Pan naczelnik zmusza się do uważnego wysłuchania sprawy i z trudnością, zadając kilka pytań.

„Słuszaj! Wasze Wieliczestwo!

Powtórny brzęk ostróg. Żandarm wychodzi z irząskiem, oficerowie napowrót grupują się wokół stołu, a pan naczelnik wstąpił się w rog ceratowej kanapy.

Tak trwało całą noc. Nic więc dziwnego, że gdy rano wyszedł do bufetu na szklankę czaju, pan naczelnik, człowiek nieco przeżyty i szepleniący, miał cerę bardziej ziemistą i szepełił mocniej, niż zwykle. Ożywił się dopiero przy herbacje. Może ciepłem gorącego napoju, może blaskiem kilku promieni słońca, które przerznawszy poranną mgłę i musnąwszy w drodze łysinę pana naczelnika, ukosem padły na stół, nadając całemu otoczeniu żywy kolor. Popijając herbatę, pan naczelnik dowcipkował więc razem z podwładnymi — również dobrze na temat rozpoczętej wojny, jak zaćpanek jednego z oficerów — arystokratycznego praporszczyka zapasa — do bufetowej panny. A słońce sierpniowe świeciło coraz mocniej, coraz cieplej, grało światłkami na ścianach, na łyżeczkach zapalało ogniki, mocną herbatę w szklankach rozjaśniało do jasnego złota...

Wtem dźwięknęły na peronie kroki. Ktoś zbliżał się szybko. Rozwarły drzwi i przed naczelnikiem stanął wprostowany starszy strażnik. Meldował, że o kilkanaście wiorst dostrzeżono czołowe patrole niemieckie. Liczą po kilku, najwyżej kilkunastu ludzi — o większych siłach nie słychać. Prawdopodobnie około południa dotrą do miasta.

Pan naczelnik słuchał, uśmiechając się z zadowoleniem. Kombinował. Tym sposobem rzeczy składały się lepiej, niż mógł kiedykolwiek przypuszczać. Nieliczne patrole i czas do południa... A więc świętna okazja do wypłatania figla Niemcom i wyrobienia sobie tem lepszej marki w gubernii.

Wstał i wyszedł na peron. Rzucił krótki rozkaz dalszego trzymania maszyn pod parą i poczynienia ostatecznych przygotowań do wyjazdu. W chwilę potem klusował już z dworca na czele kilkunastu strażników.

A z przeciwnej strony jechał ku miastu podjazd pruski. Rosłe konie szły truchtem, kołyszając miarowo szarych ułanów i chorągiewki lanc. Wicewachmistrz na przedzie co chwila przykładł do oczu lornetę polową. Patrzył — badał okolicę i mimo pewności, że wojska rosyjskie cofnęły się, śledził bacznie, czy nie ujrzy gdzie burego szynela.

Lecz cicho było wokół i pusto. Upalne południe uśpiło równinę; wygnało z niej ruch — pracę i cień ożywcy. Jarzący blask słońca niepodzielnie panował nad polami. Zlewał się na żytnie ściernisko, wysuszał ziola przydrożne, buchające ostre woniami, a powietrze wprawiał w lekkie drganie, znaczne po ruchach pierwszych nici babiego lata. Opodał, w mizernym cieniu kilka brzączek i drzew owocowych tuliły się do chaty najbliższej kolonii włościańskiej, czerwieniąc się i białając naprzemian do słońca.

Podjazd w milczeniu leniwie posuwał się naprzód. Konie coraz częściej rzucały łbami, bryzgając pianą, a jeźdźcy zdejmowali kaski, by otrząść spocone czoła. Tymczasem szosa przed nimi biała się w dal, pusta. Pierwsze budynki miejskie majaczyły dopiero gdzieś na horyzoncie. Wicewachmistrz niescierpliwiał się. Razwraz spoglądał na swą kartę, lornetował szosę i powtórnie szukał czegoś wśród czarnych kresów mapy.

Dojeżdżali do nowej kolonii. Na przyzbie najbliższej chaty siedział chłop i naprawiał koło od wozu drabiniastego. Na drodze kilkoro dzieci uganiało się z polanym wózkiem. Starsze ciągnęły, gruchocząc go coraz bardziej po kamieniach, a młodsze dreptały za nimi wśród wesółych pisków. Nagle któreś dostrzegło zbliżający się patrol.

O, Jezu! Prusaki lećm!

I w mig rozpiezchła się gromada — do chaty, do sadu, gdzie kto trafił. Ostatnie uciekało najmłodszego potykając się co krok i padając.

— Prusioki! Prusioki! — i zanosilo się od płaczu.

Stary chłop powstał. Zmarszczył brwi, dłonią przyłonił oczy i patrzył pod słońce. Potem wziął na ręce

kiszczącego dzieciaka, przestawił przez próg chaty, a sam znów pochylił się nad robotą. Za chwilę ulani wstrzymali przed nim konie.

— Panie gospodarz! — spytał go wachmistrz po polsku — czy to cukrownię tam widać?

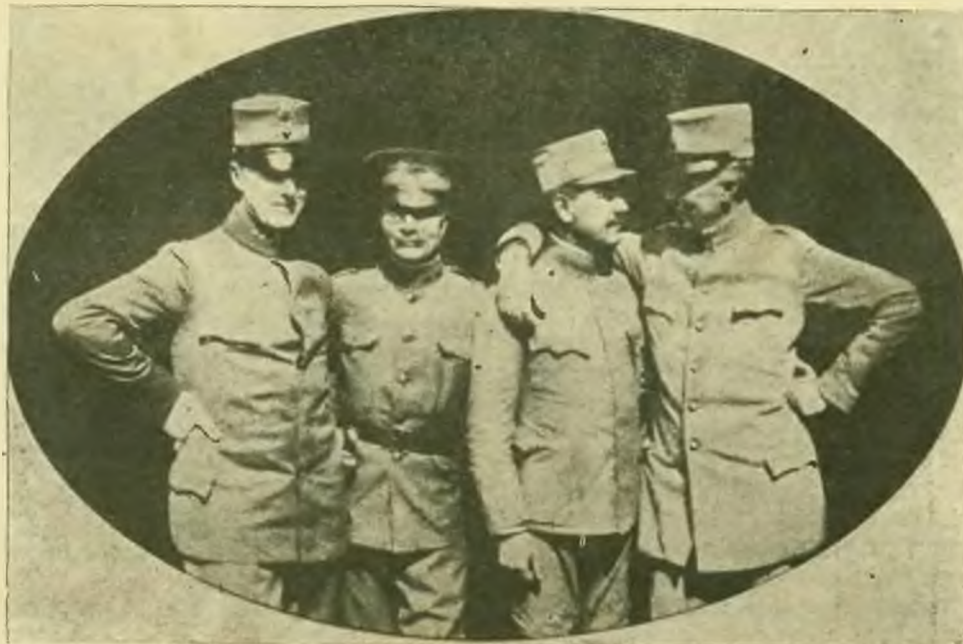
Chłop podniósł głowę i uchylił kapelusza. Nieufne spojrzenie zatrzymał na żołnierzach.

— A no przecie...

Podjazd ruszył dalej. Stary znów patrzył chwilę.

— Po naszymu niby godają — mruknął i z flegmą zabrał się do roboty.

O dwie wiorsty świeciły białe ściany cukrowni, obmurowanej wokół, jak forteca. Opodal składy, mieszkanie robotnicze i willa dyrektora z ładnym ogródkiem. Stamtąd szosa skręcała i niedaleko już było do miasta.



Atachés wojskowi państw neutralnych przy komendzie armiji w Warszawie.

Wachmistrz opuścił lornetę, zakomenderował i przeszedł w klusa.

Wtem na skrócie ukazał się jeździec w zielonym mundurze, dążący fruchttem naprzeciw podjazdu. Błysnęła w słońcu szabla oficerska... Ułani wskok rzucili się ku niemu. Lecz pan naczelnik spojrział tylko i konia wstrzymał. Trzasnął kurek, gwizdnęła kula rewolwerowa. Rosjanin cwałem ruszył z powrotem ku fabryce. Za nim też szare mundury. Furkoczą chorągiewki lanc, podkowy trzaskają o bruk, chrapią konie. Już wpadli między zabudowania cukrowni. Wezmą go żywcem... Nagle pan naczelnik zwraca się w siodło. Powtórny strzał z rewolweru i równocześnie z za murów ogrodu suchy klekot karabinów...

— Jezus Maryja! — krzyknął ktoś w szeregu pruskim. Dwóch ulanów zwalonych na ziemię, dwaj inni pochylili się na szyje konskie.

Halt!

Wachmistrz zgarnął swoich ludzi — i w chwilę potem tylko chmura kurzu na drodze znaczyła miejsce, gdzie uciekał podjazd niemiecki.

Haraszo, rebiata! — zwrócił się pan naczelnik do żandarmów.

Bohater był zadowolony, że udało mu się zwabić w zasadzkę i ustrzelić kilku ludzi z za płota.

W pół godziny ostatni pociąg służbowy opuszczał dworzec wśród detonacyj wysadzanych mostów.

W kilku wagonach straż ziemską i urzędnicy kolei, a pośrodku kołysze się na szynach salonka pana naczelnika. On sam siedzi wygodnie na kanapie i cniąc papierosa z niedbalym uśmieszkiem przyjmuje gratulacje podwładnych. Myśli o wuju gubernatora...

Na szosie koło cukrowni leżały dwa trupy pruskich ulanów. Kaski potoczyły się zdala od głów, na szarych mundurach krew powoli się zapiekała. Słońce paliło żółte twarze, a wokół rozwartych oczu i ust gromadziły się wielkie, błyszczące muchy. Brały się niewiadomo skąd, nadlatywały z brzękiem coraz liczniejsze, obsiadały twarze i skrwawione piersi zabitych. A oni leżeli, porzuceni, jak zdechłe psy, o które nikt się nie zatroszczył.

Nazajutrz wczesnym rankiem proboszcz chował ich na cmentarzu katolickim. Na grobie zatknęto prosty krzyż z napisem:

Puławski... Strzegocki...

Proszą o Zdrowaś Maryja.

Dwaj poznańscy Polacy, pierwsze ofiary starcia Niemców z Rosjanami — ofiary bohaterstwa pana naczelnika. Leżą w polskiej ziemi i proszą o Zdrowaś Maryja.